

Przypowiadka wigilijna

25 grudnia 2022

...i zdarzyło się tak, że zakończywszy swe sprawy na ziemskim padole, przed Panem stanęli jeden obok drugiego: lewak i oligarcha. Nie to, że jakaś specjalna to była okazja. Wyciągnęli po prostu z maszyny kolejkowej jeden po drugim kolejne numerki: oligarcha miał 32, lewak, komuchem też zwany – 33. Gdy przyszła ich kolej, stanęli przed obliczem Pana, by zdać mu sprawę ze swych poczynąń za ziemskiego życia.

– No dawaj – rzekł Bóg do bogacza i leniwym ruchem odegnął natrętnego aniołka, próbującego bezskutecznie a fałszywie jakiegoś akordu na harfie. – Czym możesz się pochwalić, hę?

– Oooo, Panie, dokonałem wiele. Kończyłem renomowaną uczelnię, potem ze dwa kursy w USA i kiedy wróciłem, byłem gotowy do biznesu...

– A sam żeś tam pojechał, to tego USA? – zainteresował się znienacka Pan.

– Co? A nie, tata mnie wysłał, dość zasobny był, za PRL nazywało się to „prywatna inicjatywa”.

– Wiem, jak się nazywali, dawaj dalej – opadł głębiej w fotel Bóg łaskawy.

– No i dobrze szło z tym biznesem, najpierw tłukłem podróbki perfum, potem przerzuciłem się na oryginały i chemię z Niemiec, a potem już mogłem otworzyć własną fabrykę chemii gospodarczej. O, Panie, to był strzał! W krótkim czasie miałem tyle kasy, że na liście „Wprost” w pierwszej dziesiątce byłem.

– Ty mów o uczynkach, a nie o swoich sukcesach, bo to mnie, widzisz, mało obchodzi – powiedział szybko Bóg, widząc, że oligarcha bierze oddech, by kontynuować w tym duchu.

– No przecież mówię – lekko obruszył się oligarcha (ale tylko

lekką, jednak zdawał sobie sprawę, kto tu rozdaje karty) – to właśnie były dobre uczynki. Po pierwsze, inwestowałem w siebie. Potem, ożeniłem się z dziewczyną, która dzięki mnie miała kasy jak lodu. Najpierw kupiłem jej sklep z odzieżą w tej miejscinie, z której pochodziła, potem zafundowałem jej studia i to nie było jakie, tylko na renomowanej uczelni. Co ja kasy straciłem, żeby ją przepychać z semestru na semestr, no, nawet sobie, Panie Boże nie wyobrażasz. Nie, że głupia była, tylko leniwa jak żółw z Galapagos. Wreszcie zrobiłem ją wiceprezesem ze trzech moich spółek i wetkałem do Rady Nadzorczej jednej spółki miejskiej, bo tam burmistrz jadł mi z ręki. Ale to nie wszystko, Panie. Zatrudniałem w moich trzech fabrykach kilka tysięcy ludzi. Wszystkim płaciłem uczciwie, nigdy, ale to przenigdy nie zszedłem niżej prawnie dopuszczalnej pensji minimalnej lub minimalnej płacy godzinowej. Słowo daję, w obecnej sytuacji raczej bym nie łągał. Mało tego, wypłacałem premie roczne i w bonach na różne święta. I cały czas dbałem, by moje firmy prosperowały, bo to przecież była gwarancja, że moi pracownicy będą dostawali pensje w terminie. Co ja się naszarpałem: ze skarbówką, ZUS-em, związkami zawodowymi, inspekcją podatkową. Wszyscy chcieli mnie oskubać, ale się nie dałem. Księgowego miałem pierwsza klasa. Nikt tak ładnie nie umiał wycyckać państwa na podatkach jak on. A, i jeszcze jedno, jak kto był dobry, to awansował sprawiedliwie. Zresztą tacy z awansu byli najlepsi – trzymali się swoich stołków za wszelką cenę i swoich byłych kolegów też trzymali krótko za mordy. Ludzie mieli dzięki mnie dobrze. I byli szczęśliwi.

– Aha, no dobrze, ładnieś to opowiedział – tłumiąc ziewanie ocenił Bóg. – A ty? – zwrócił się do lewaka – Czym ty się możesz pochwalić? Też miałeś takie sukcesy?

– E nie... Ja pracowałem na umowę. Trzeba trafu, akurat w jednej z jego fabryk. I co ja? Robiłem ile trzeba, a nawet więcej, żeby rodzinę utrzymać. Prawdę mówi, nawet nieźle płacił i regularnie. Nie na tyle jednak, by syn na wyższe studia

poszedł bez problemów. Kredyt wzięliśmy, bo zdolny chłopak jest. Jak teraz moja stara da sobie radę ze spłatą zadłużenia, nie mam pojęcia – łypnął na Pana bez sympatii.

– Czas twój przyszedł, co ja ci na to poradzę? – rozłożył ręce Pan. – Mów dalej.

– I z tymi związkami zawodowymi też nie łąże. Co on nawyprawiał, żebyśmy nie mogli działać, to ludzkie pojęcie przechodzi. Na nasze postulaty nie zwracał uwagi, na rozmowach kantował i straszył na przemian. Wreszcie mnie zwolnił, choć byłem przewodniczącym związku. Ale mu odpuszczam, bo chłopaki strajkiem postraszyli i się obesr... przepraszam, cofnął. Zresztą nie miał innego wyjścia, bo w sądzie przegrał i musiał mnie do roboty przywrócić. To potem na mnie policję i tajniaków ze służb napuszczał, że moja partia wywrotowa jest.

– A toś ty i partię założył? – zainteresował się Bóg – Komunistyczną? Parlamentarną?

– A nigdy w życiu. Ci w parlamencie, to za burżuazyjne popychła latają, gównie wiedzą o lewicy.

– A, znaczy komunista, skoro takimi terminami operujesz. No i...?

– No i ludzi żeśmy edukowali w walce o swoje prawa, kursy robiliśmy, a w fabryce za zrzutkę dzieciaki na kolonie wysłali. No i paru młodych za składki związkowe na studia wysłaliśmy. Wszystko.

– Mhm... No to jeszcze powiedzcie, skoro nam się tak miło gawędzi, jaki do mnie mieliście stosunek – zaproponował Bóg.

– Ja, Panie – szybciutko wtrącił bogacz – co wieczór modlitwa, na tacę co niedziela dawałem nie mniej niż stówkę, i o dobra Kościoła, matki naszej, dbałem też. Tę działkę nad jeziorem, co opędzłowałem biskupowi za jakieś śmieszne pieniądze, to biskup potem odsprzedał deweloperowi za jakieś miliony.

Zarobieni byli. Po prawdzie to potem wygrałem przetarg na dostawę moich towarów do dwóch diecezji, więc zachowali się porządnie. No i imię Twoje z ust mi nie schodziło.

– A ty, komuszkę? – uśmiechnął się nieco jadowniczo Pan.

Komuch kaszlnął z zakłopotaniem.

– Eeeee... No, tego... ja to w ogóle w ciebie nie wierzyłem. Uważałem, że to głupota jest.

– Może i głupota, ale ja ci powiem: zakład Pascala wciąż działa, co by ci szkodziło? – wtrącił Bóg.

– No może i tak, ale co się stało, to się nie odstanie. Mało tego. Tępiłem twoich ludzi i Kościół, jak tylko mogłem. Ujawniałem skandale, żądałem ukarania winnych pedofilii i innych przestępstw, zresztą pewnie sam wiesz, co ja ci będę gadał. Ja wiem, że to twoi ludzie...

– No, no... – skrzywił się Bóg. – Ostrożnie z tymi zaimkami dzierżawczymi. Jacy oni moi? Hołota jakaś podająca się, prawem kaduka, za moich reprezentantów. Weź, przestań, patrzeć na nich nie mogę. Słusznieś czynił ganiając ich po wszystkich instancjach. Sromotę jeno niosą.

Nastała chwila krępującego milczenia.

– No dobra! – Pan głośno klasnął w ręce, aż się spod tronu kilkanaście aniołków zerwało do lotu jak stado wróbli. – Czas na podsumowanie. Po jednym zdaniu jeszcze macie.

– Płaciłem ludziom pieniądze, żyli nieźle, o rodzinę i swoich dbałem, niczego im nie brakło, wszyscy byli szczęśliwi, nie? – szybko wytrajkotał oligarcha.

– Nie wiem, co powiedzieć – wymamrotał komuch. – Szło mi w mojej działalności o to, żeby świat był lepszy, a ludzie na nim szczęśliwi i dla siebie życzliwi, żeby nie było wojen, wyzysku, nierówności i niesprawiedliwości.

Bóg zastanowił się (ale tylko chwilę, tak dla picu, bo wszak jest wszechwiedzący). Popatrzył na dwie, niepewne swoich dalszych losów, duszyczki.

– Ty, komuszk, możesz bryknąć na niebiańskie pastwiska. Dobrze się sprawiłeś, choć we mnie nie wierzyłeś, ale jakiś papież chyba powiedział, że nie trzeba we mnie wierzyć, by być zbawionym. No to jest właśnie ten przypadek.

– A ja, a ja, a ja? – pisnął oligarcha.

– A ty musisz parę spraw przemyśleć. Wy, lewaki – zwrócił się do zmierzającego do niebiańskiej furty komucha – pewnie byście go pod murek, co?

– Co ty, to nie działa. Ja myślę, że jakiś obóz reedukacyjny czy coś podobnego...

– To co, do piekła? – biały jak papier zapytał bogacz.

– Jam jest miłosierdzie. Piekła nie ma, to was tylko, frajerów, straszą te klechy, żeby mieć pod butem. Ale tu mam taki pokoik do przemyśleń. Nie jest tam ciepło ani zimno, nie ma luksusów, ale też niewygody dużej też nie. Karmią i poją dobrze, ale bez smaku jest wszystko. To doskonałe warunki, żeby się zastanowić nad sobą. Niedługo, paręset lat. Potem do niego dołączysz, zredukowany.

Autorstwo: Maciej Wiśniewski

Źródło: Strajk.eu